

Co może polityka?

1 lutego 2018

Każda poważna dyskusja o dzisiejszej Polsce, wychodząca poza bieżączkę polityczną czy najbardziej ortodoksyjną propagandę Wspaniałego Ćwierćwiecza 1989-2014, dość nieuchronnie prowadzi do wniosków, że sytuacja jest średnia. Mamy gospodarkę o niewysokim jak na Europę PKB, tkwiącą w pułapce średniego dochodu, płacącą rentę kolonialną, mało innowacyjną. A przy tym wszystkim kiepskie perspektywy demograficzne. Powstaje pytanie, jakie są możliwości zmiany tego stanu rzeczy przez bieżące działania polityczne i na ile strategie w rodzaju tej ogłoszonej przez wicepremiera Morawieckiego są propagandowymi zbiorami pobożnych życzeń, a na ile jednak jakimiś szansami.

Myślenie kategoriami długiego trwania, wielkich formacji historyczno-gospodarczych, określonych przez kształtujące się w ciągu stuleci habitusy determinant rozwoju lub jego braku może prowadzić do pewnej lekceważenia niewiary w skutki działań doraźnych. Na drugiej szali można położyć chętnie przywoływane przykłady potężnych awansów cywilizacyjnych, jakich doznały w XX wieku Korea Południowa, Tajwan, a także, last but not least, nieco później Chiny kontynentalne. Nierzadko pada jednak argument o możliwej nieadekwatności takich porównań z uwagi na odmienne kręgi cywilizacyjne i moment historyczny. Warto być może zatem poszukać sytuacji w historii Polski, w których szanse modernizacyjne zostały przegapione czy zaprzepaszczone z uwagi na nietrafione decyzje polityczne w kluczowych momentach.

Przedrozbiorowa historia Polski wydaje się nie obfitować z potencjalne punkty zwrotne. Ukształtowany ostatecznie, niesprzyjający innowacji, model gospodarki folwarcznej był mocno zakorzeniony w czynnikach obiektywnych. Był ceną płaconą za zaskakującą odporność populacji ziem polskich (czy szerzej, zachodniosłowiańskich) na zarazy, dziesiątkujące w późnym Średniowieczu ludność Europy Zachodniej, ale nie oszczędzające

też terenów obecnej Rosji. Znikome straty ludnościowe ułatwiły osiągnięcie przez państwo polsko-litewskie potęgi politycznej, jednak dostępność rąk do pracy sprawiła, że była ona tania i nie istniały impulsy do poszukiwania pozarolniczych źródeł dochodu czy sposobów zrekompensowania braku ludzi efektywniejszymi metodami gospodarowania lub wynalazkami technicznymi. Doskonała opłacalność produkcji rolnej w wiekach XV i XVI odbierała sens inwestowaniu w wytwórstwo protoprzemysłowe, to po prostu się nie kalkułowalo. Korzystała na tym w istocie całość ludności, jednak później pozbawieni siły politycznej kmiecie mieli zapłacić za to obróceniem w faktycznych niewolników. Podobnie dobrodziejstwem inwentarza, wynikającym ze specyficznego, odmiennego od zachodniego modelu feudalizmu, było dysfunkcyjne spełnianie roli zachodniego stanu trzeciego przez liczną szlachtę, która szybko od rycerstwa przeszła do roli faktycznych przedsiębiorców, nadużywających przywilejów wynikających z pozycji politycznej i pozbawionych konkurencji (przez co mogli stanowić prefigurację dzisiejszych „Januszków biznesu”), oraz Żydów, których formacja intelektualna nie zmieniła się wiele od Średniowiecza i miała bardzo mało punktów stykowych z tym, co działo się na zachodzie Europy.

W tej sytuacji znaczące oddalenie się trajektorii rozwojowej Rzeczypospolitej od dominującej w wyznaczającej trendy części kontynentu – było w zasadzie nieuniknione. Pewną zmianę mogło zapewne przynieść powodzenie wysiłków mających na celu wzmocnienie roli monarchy i centralizację władzy – silna stała armia królewska stymulowała wszędzie powstawanie zakładów zbrojeniowych pracujących na jej rzecz, które w Rzeczypospolitej nie zaistniały. Byłaby to zmiana istotna, jednak raczej punktowa i nie wpływająca szczególnie na model gospodarczy panujący w kraju. Poruszanie się po bocznym torze, acz niekorzystne, samo w sobie nie było jednak tragedią. Wszak Rosja we wcale nie lepszych warunkach stała się dzięki wielkości terytorialnej i ludnościowej potęgą – a tych parametrów nie brakowało i Rzeczypospolitej, niezależnie od

pogłębiającego się zacofania cywilizacyjnego. Klucz do losów kraju leżał w sferze czystej polityki. Radykalna całościowa modernizacja była co do istoty praktycznie niemożliwa choćby przez samą trudność konceptualizacji (choć silna władza centralna mogłaby na zasadzie imitacji wdrażać ją efektywnie na pewnych odcinkach), ale też nie stanowiła warunku sine qua non utrzymania państwowości.

Rozbiory i XIX wiek przyniosły zasadniczą zmianę. Po pierwsze dawny model polityczno-społeczno-gospodarczy zbankrutował w sposób wyraźny jako jedna z przyczyn katastrofy państwa. Po drugie rozpoczęła się rewolucja przemysłowa. W nieoptymalnych warunkach politycznej „Rzeczypospolitej jeden i pół”, która wyłoniła się z zawieruchy wojen napoleońskiej, pojawiła się właściwa odpowiedź na problem. Przybrała ona postać polityki interwencyjnej, stymulującej odgórnie rozwój, a prowadzono ją z inicjatywy księcia Druckiego-Lubeckiego. Chociaż z uwagi na ograniczający rynek wewnętrzny brak uwłaszczenia chłopów również środowisko społeczno-gospodarcze nie było optymalne, efekty osiągnięte do roku 1830 były bardzo obiecujące. Rozwijały się przemysły górniczy i włókienniczy, poprawie ulegała infrastruktura. Szacowane wskaźniki gospodarcze Królestwa Polskiego były porównywalne z ówczesną Szwecją. Niestety, represje po przegranym Powstaniu Listopadowym uniemożliwiły kontynuację tej polityki, a wprowadzenie barier handlowych na wywóz towarów do Rosji w znacznej mierze zniweczyło jej osiągnięte dotychczas efekty. Co gorsza, likwidacji uległa niedawno założona warszawska politechniczna Szkoła Przygotowawcza, co bardzo utrudniło przygotowywanie kadr inżynierskich – nauka wiązała się z koniecznością wyjazdu do Rosji lub emigracji. XIX-wieczne powstania miały oczywiście szereg przyczyn, niemniej jednak za każdym razem ich rozpoczęcie stanowiło pewną decyzję polityczną, mającą alternatywy i trudno uznać je za bezwzględne konieczności. Za każdym razem były fatalnie nietrafione czasowo – gdyby któreś wybuchło w czasie wojny krymskiej, miałoby znacznie większe widoki na korzystny wynik.

O ile bilans powstań w sferze świadomości narodowej jest kwestią dyskusyjną, w której można sensownie (choć bez możliwości ostatecznego rozstrzygnięcia) formułować różne stanowiska, o tyle w odniesieniu do poziomu cywilizacyjnego większości ziem, które złożyły się na odrodzoną Polskę, wydaje się być jednoznacznie zły. Szansa modernizacyjna przepadła.

Polska, odzyskawszy niepodległość w 1918, była gospodarczą peryferią, w której kumulowały się zapóźnienia wynikające z bocznotorowego rozwoju przed rozbiorami oraz bardzo ograniczonego uczestnictwa w modernizacji będącej płonem rewolucji przemysłowej. Sytuację pogarszały bardzo poważne zniszczenia wojenne. Przywołana wcześniej Szwecja, nienależąca przecież do przodującego gospodarczo centralnego obszaru Europy Zachodniej, zdążyła w ciągu 100 lat uzyskać dwukrotną przewagę w aspekcie rozwoju wyrażonego jako PKB per capita (a do wybuchu II wojny światowej wzrosła ona do dwuipółkrotności). Rozwój przemysłu i infrastruktury w II RP przebiegał niezwykle opornie, mimo inwestycji podejmowanych przez państwo. Ubogi rynek wewnętrzny nie zapewniał tym usiłowanym przyjaznego środowiska, a obciążenia fiskalne wsi, z których czerpano środki na inwestycje, jeszcze pogarszały sprawę. Kraj bardzo źle zniósł Wielki Kryzys – PKB per capita spadał nieprzerwanie do 1933, osiągając w tym roku 75% wartości z 1929.

Wieś w ogromnej mierze pozostawała na poziomie życia znanym z XIX wieku, była też bardzo przeludniona. A to ona, skupiając w 1931 roku 73% mieszkańców kraju, stanowiła klucz do powodzenia modernizacji. Ogólne ubóstwo było uwarunkowane przez strukturę własnościową: 1% przeważnie ziemiańskich gospodarstw wielkoobszarowych (powyżej 50 ha) zajmowało w 1921 roku 48% gruntów. Progu produkcji towarowej, wynoszącego 5 hektarów, nie przekraczały 62% gospodarstw, a 1/3 chłopów była bezrolna. Reforma rolna była koniecznością. Niestety, przyjęto zupełnie niesatysfakcjonujące rozwiązania „kropelkowe”. Pakt lanckoroński przewidywał parcelację ledwie 200 000 hektarów

rocznie, a ułożenie się formacji sanacyjnej z ziemiaństwem w Dzikowie i Nieświeżu spowodowało, że nawet te założenia nie były realizowane i w efekcie w 1938 r. średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego spadła w porównaniu z 1921 z 5,7 ha do 5 ha, natomiast liczba niesamowystarczalnych gospodarczo minifundiów wzrosła do 64,5%.

Efektywna, napędzająca modernizację kraju reforma musiałaby być radykalna, być może nawet realnie wywłaszczeniowa. Zapewne nad ziemiańską Arkadią zniszczoną przez narodowych bolszewików roniłoby się dziś łzy, ale byłby to potężny impuls, dzięki któremu rozwój przemysłu albo dokonywałby się w miarę samoistnie, albo, prowadzony przez państwo, nie wisiałby w próżni. A przy okazji zapewne częściowo rozbroiłoby to fatalną sytuację narodowościową – tutejszy, otrzymawszy od polskiego państwa ziemię, dwa razy zastanowiłby się, czy czuje się Ukraińcem, o którym prawią młodzi agitatorzy, czy może jednak Polakiem, do czego zachęca władza, dysponująca obok kija także marchwią. To też była decyzja. Mógł Ziuk postawić jednego pasjansa mniej, mógł Pan Roman wróciwszy z Wersalu przeczytać bardzo ciekawą książkę, „Myśli nowoczesnego Polaka”, i pójść w kierunku modernizacyjno-populistycznym, a nie uprawiać konserwatyzm potrzebny zacofanej Polsce jak dziura w moście.

Dzięki dokonany u siebie reformom i reformom własnościowym zaczęły Polskę wyprzedzać podobnie postfeudalne nędze, jakimi były kraje bałtyckie (dokonywane przez krajowych obserwatorów porównania wsi litewskiej i polskiej wypadały dla tej drugiej bardzo niekorzystnie) oraz Finlandia. Warto przyjrzeć się przez chwilę przykładowi tej ostatniej. Dokonane w latach 1920. kompleksowe reformy rolne przyczyniły się w sposób decydujący do szybkiego wzrostu gospodarczego – PKB per capita wzrósł między 1929 a 1920 o niemal połowę. Wielki Kryzys odbił się również na gospodarce tego kraju, jednak do 1933 roku omawiany wskaźnik wrócił do poziomu z 1929 r., aby do chwili wybuchu wojny wzrosnąć o kolejną jedną trzecią. Reformy przyczyniły się też do scalenia politycznego kraju,

podzielonego przez wojnę domową między białymi a czerwonymi. W 1939 społeczeństwo fińskie przeciwstawiło się konsekwentnie i jednomyślnie sowieckiej inwazji, a propaganda najeźdźców nie znajdowała praktycznie żadnego posłuchu. Jednocześnie przemiany nie spowodowały alienacji społecznej dotychczasowych właścicieli ziemskich – szwedzkiej szlachty. Można zatem zakładać, że i Polska mogła na podobnym programie bardzo skorzystać. Siła gospodarcza przełożyłaby się na wojskową, zwiększając poważnie szanse przetrwania w niezwykle trudnym otoczeniu, oraz na polityczną.

Ostatnią dotychczasową niewykorzystaną szansą modernizacyjną jawią się być czasy pogomułkowskie, kiedy w sumie całkiem sensowne gierkowskie inwestycje, równoległe do dokonywanych w Korei Południowej i idące w podobnych kierunkach, zamiast nadać impet, rozmyły się z powodu braku możliwego przecież urynkowania gospodarki, zwiększającego popyt i rozwiązującego nierozwiązywalne przy centralistycznym dogmatyzmie problemy typu brak sznurka do snopowiązałek. Pewna szansa występowała jeszcze za czasów generała Jaruzelskiego. Wystarczyło, imitując drogę chińską, zamiast wolności politycznej zwiększyć zakres swobody gospodarczej. Tych parę lat do i tak nieuniknionego upadku systemu dałoby czas temu, co stworzono w poprzedniej dekadzie na okrzepnięcie zamiast gnicia oraz na wejście do otwartej konkurencji światowej na o wiele lepszych warunkach (vide Czechy czy Słowenia).

Nie ma powodu przypuszczać, że drzwi na klatkę schodową są już nieodwołalnie zamknięte i jesteśmy skazani na snucie się po obecnie zajmowanym piętrze. Polska ma, jak by nie patrzeć, kapitał w postaci sporej wielkości populacji. Najpierw, po zebraniu przez władzę centralną do kupy barbarzyńców, pozwolił on sam w sobie wystrzelić z państwem, które było w stanie oprzeć się w konfrontacji dawnym kolegom w barbarzyństwie, którzy jakieś 700 lat wcześniej zaczęli korzystać z dobrodziejstw. Nie udało się to mniej liczny barbarzyńskim pobratymcom z zachodu, tym ze wschodu sami zaczęliśmy wchodzić

w szkodę. Ten sam kapitał pozwolił po ogarnięciu się i ubraniu butów zamiast łapci zacząć grać o wysokie stawki. Od XVII wieku pozostaje niestety niewykorzystany, ale istnieje. Dlatego np. ewentualny rozpad Wielkich Współprac i powrót protekcjonizmów nie jest dla nas wyłącznie zagrożeniem, ale może być też szansą – byle wstrzelić się z decyzjami...

Autorstwo: dr Jan Przybylski

Źródło: NowyObywatel.pl

O AUTORZE

Dr Jan Przybylski (ur. 1976) – doktor chemii (ale to było dawno i nieprawda). Militarysta od kołyski, jak to zwykle w takich przypadkach bywa – w stopniu szeregowego podchorążego rezerwy. Z zawodu tłumacz. Mieszka we Wrocławiu, co bardzo sobie chwali. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.